

emocje

Radio Wrocław najlepsze w 2017!
Wg European Radio Show 2017 w Paryżu!
Dziękujemy za zaufanie!



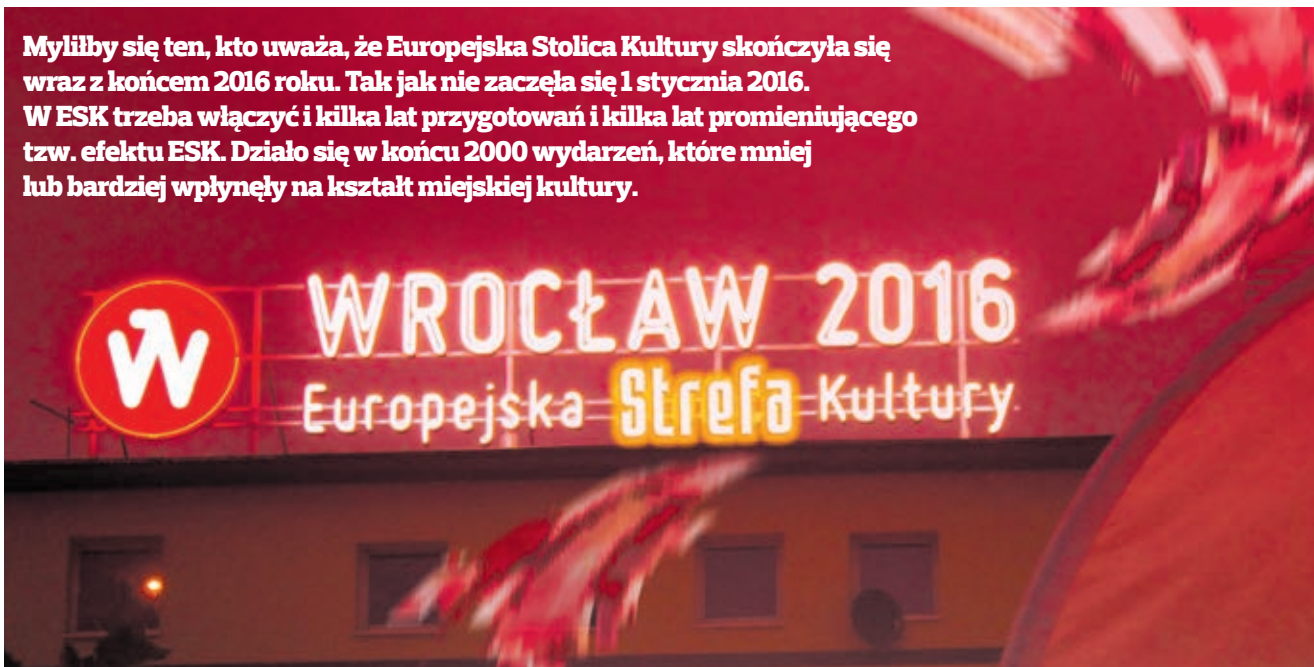
magazyn kulturalny RADIA WROCLAW KULTURA

ISSN 2544-1787

egzemplarz bezpłatny

jesień 2017

Myliłby się ten, kto uważa, że Europejska Stolica Kultury skończyła się wraz z końcem 2016 roku. Tak jak nie zaczęła się 1 stycznia 2016. W ESK trzeba włączyć i kilka lat przygotowań i kilka lat promieniującego tzw. efektu ESK. Działo się w końcu 2000 wydarzeń, które mniej lub bardziej wpłynęły na kształt miejskiej kultury.



Czym była ESK? Rafał Koziński, organizator m.in. Miesiąca Lwowskiego, uważa, że pierwszym w polskiej kulturze rocznym festiwalem. Co nam dał? Zbadali to naukowcy z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Nastąpiło ożywienie kulturalnego życia, pojawiły się nowe sposoby uczestnictwa w nim (**współtworzenie projektów w ramach Mikrograntów, Wejścia od podwórza** czy udział w widowiskach, jak pochody z inauguracji, Zarzuela na stadionie). Kultura była dostępna i obfita w imprezy, o czas wol-

ny mieszkańców konkurowało dużo więcej ofert. Ankietowani w ogromnej większości przyznali całości Europejskiej Stolicy Kultury notę dobrą (45%) lub bardzo dobrą (27%) przy ponad 3% złych ocen. Odpowiadaliśmy, że spędziliśmy ciekawie czas, mieliśmy dobrą zabawę, ESK była tematem rozmów ze znajomymi (trzy najczęściej wskazywane korzyści).

Co jeszcze? **Wrocławowi przybyło prestiżu, infrastruktury** (czyli przestrzeni dla kultury - np. Pawilon Czterech Kopuł, Narodowe Forum Muzyki, Barbara, Cen-

trum Kulturalno-Biblioteczne FAMA). Mieliśmy reklamę na Europę i świat, kolejna duża impreza promowała Wrocław (jak wcześniej wydarzenia sportowe). Ciekawe, że **88%**

się na wrocławskie doświadczenia, bo ESK zmieniła kulturę w innych miastach. Przegranymi w wyścigu o tytuł wiele zyskali, biorąc udział w konkursie i wyciągając wnioski z porażki.

Zastanawia brak projektów kulturalnych w propozycjach do Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego. Czyżby - mimo Europejskiej Stolicy Kultury - wrocławianie nie wierzyli, że kulturalny projekt wygra z przebudową, remontem drogi lub instalacją oświetlenia?

badanych uważa, że ESK była jednym z czynników rozwoju gospodarczego Wrocławia, a odrobinę mniej, 86%, że przyczyniła się do rozwoju życia kulturalnego miasta. Korzyść ESK to także tzw. milcząca wiedza albo kapitał kompetencji. Wiele osób nauczyło się, jak organizować ambitne przedsięwzięcia z różnych dziedzin kultury i teraz możemy wszystko. Czy i na ile trwały jest efekt ESK? Dr Jacek Pluta radzi poczekać na kolejną diagnozę społeczną Wrocławia, a może i więcej takich diagnoz.

Warto też nie tylko zapatrzeć

Na przykład w Gdańsku istnieje Biuro Prezydenta Gdańska ds. kultury. To dobry trop dla Wrocławia, by na tak wysokim poziomie strategicznie się nią zająć. Nie wszystkie bowiem wyniki ewaluacji ESK są budujące. Na pytanie, czy słyszał/a Pan/Pani o tym, że Wrocław w 2016 roku był Europejską Stolicą Kultury, częściej od mieszkańców Dolnego Śląska twierdząco odpowiadali ankietowani z województwa mazowieckiego, lepiej wiedzieli o takiej imprezie Ślązacy, a podobnie do nas w Wielkopolsce i Małopolsce.

ciąg dalszy na str. 2

3 sposoby jak odbierać Radio Wrocław Kultura

1 poprzez darmową aplikację mobilną

2 tradycyjny odbiornik (koniecznie z cyfrowym systemem DAB+)

3 na stronie www.radiowroclawkultura.pl (tutaj można nas także zobaczyć w wysokiej jakości transmisji wideo)



TEATRALNE OTWARCIE SEZONU



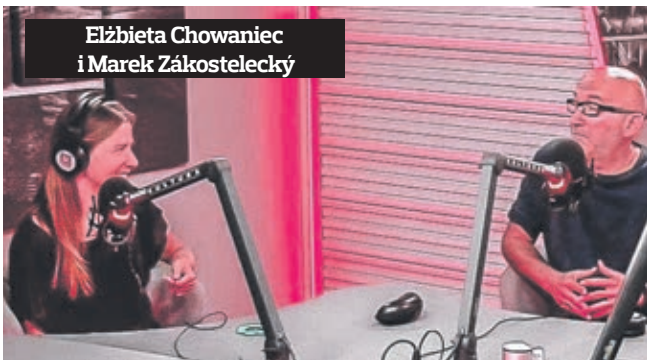
Tanja Miletić Oručević

SZABERPLAC, MOJA MIŁOŚĆ (Wrocławski Teatr Współczesny)

Tanja Miletić Oručević, reżyseria: W spektaklu łączymy wątki z historii Wrocławia z motywem wojny w Bośni i Hercegowinie. Punktem wyjścia jest szaber jako zjawisko, a tematem nie tylko wojna, ale w ogóle sytuacja zagrożenia, w której my wszyscy w Europie żyjemy. Polityczne zmiany, terroryzm, wszędzie, od Bałkanów po Wielką Brytanię, wydaje nam się, że dzieje się coś historycznego, co może zmienić nasz los. To podobna sytuacja, jaką odczuwają ludzie w obliczu wojny i bezpośrednio po wojnie, kiedy nic nie jest pewne.

BURZA (Wrocławski Teatr Lalek)

Elżbieta Chowaniec, adaptacja, Marek Zákostelecký, reżyseria i sceno-



Elżbieta Chowaniec i Marek Zákostelecký

grafia: 'Burza' to super historia dla teatru dla dzieci. Oczywiście, musieliśmy sztukę Shakespeare'a skrócić, nie ma w naszym przedstawieniu czterech postaci. Zależało nam na tym, by młodzi widzowie podążali za fabułą, byli ciekawymi, co wydarzy się dalej. Mamy też podtytuł: Włosi

na księżycu. To kosmiczna 'Burza', z robotem, skafandrami, rakietami, planetami. 'Burza' jest w pewnym sensie drugą częścią trylogii zapoznawania dzieci z klasyką. Pierwszy był 'Czardziejski flet' i klasyka operowa, teraz 'Burza' i dramat, trzecią ma być balet i 'Jezioro łabędzie'.

MAKBET (Teatr Muzyczny Capitol)

Agata Duda-Grac, reżyseria i scenografia: Bardzo długo na tego 'Makbeta' czekałam, czekałam aż znajdę Lady Makbet. Od dawna wiedziałam, że moim Makbetem jest Cezary Studniak. Po kolejnych etapach współpracy z Magdą Kumorek zrozumiałam: to ona, teraz już mogę zrobić ten spektakl. To bardzo ważny dla mnie tekst. Zawsze pracuję na



Agata Duda-Grac

nim ze studentami, gdy zaczynam pracę nad jakimkolwiek przedstawieniem, czytam go jeszcze raz. To tekst absolutny. Bałam się tylko jednego. Żeby nie być Styką z anegdoty Czapskiego. Kiedy Styka malował Chrystusa, malował długo, klęczał, Chrystus wychylił się pewnego dnia zza obrazu i powiedział: maluj mnie dobrze, a nie na kolanach.

POWIEDZIELI W RADIU WROCLAW KULTURA

MARCIN HAMKAŁO, DYREKTOR MUZEUM PANA TADEUSZA WE WROCLAWIU



Przygotowujemy się do wypełnienia naszego zobowiązania nazwanego Gabinetem Tadeusza Różewicza. Po śmierci poety miasto Wrocław kupiło jego archiwum i prywatne pamiątki, i tego samego dnia przekazało w formie darowizny Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich, a my, Muzeum Pana Tadeusza, zobowiązaliśmy się, że zrobimy z tym coś pożytecznego, sensownego, ważnego. Teraz, jesienią będziemy się zajmowali Różewiczem w ramach Festiwalu Tradycji Literackich. To będzie rozdział pierwszy, Mickiewicz-Różewicz. Spróbujemy między innymi pokazać, w jaki sposób Różewicz odnosił się do tradycji romantycznej. W grudniu zaprezentujemy wystawę opartą na materiałach filmowych zrealizowanych o poecie, fragmentach nakręconych podczas prób teatralnych. Zakładamy, że w drugim kwartale przyszłego roku uda nam się otworzyć stałą ekspozycję, którą na razie roboczo nazywamy 'Paradoksy

Różewicza'. I to będzie początek długotrwałego i - mam nadzieję - ciekawego programu poświęconego twórczości Tadeusza Różewicza, no i domkanie - także z powodu ograniczonej przestrzeni Kamienicy Pod Złotym Słońcem - stałe elementy wystawiennicze naszego muzeum. Dziś składają się na nie wystawa dotycząca rekopisu 'Pana Tadeusza' oraz część zatyulowana 'Misja Polska', czyli opowieść o konsekwencjach paradygmatu romantycznego na przykładzie życiorysów Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Władysława Bartoszewskiego. Chcemy postawić Różewicza na należnym mu miejscu, by zaistniał w naszej rozmowie codziennej.

PROF. JANUSZ DEGLER, TEATROLOG I WITKA-COLOG, W LATACH 1950. SĄSIAD AKTORA TEATRU POLSKIEGO ARTURA MŁODNICKIEGO:



Młodnicki był właścicielem 24 kotów, wszystkie miały diabelskie imiona. Ale najstraszniejszy był czarny Belzebub. Kiedyś mój pies, Fafik, maltańczyk, spotkał go gdzieś przy garażu, Belzebub przeorał mu nos. Usłyszał to Artur Młodnicki, wyprowadził samochód i pojechaliśmy do weterynarza, doktora Kalinowicza. Na szczęście nie trzeba było szyc.

Młodnicki dzielił garderobę w teatrze z Igozem Przegrodzkiem.

- Artur, ile ty masz kotów? - pyta Przegrodzki.

- Dwadzieścia cztery - pewnie odpowiada Młodnicki.

- Policz dobrze - upiera się kolega.

Artur wymienia: Belzebub, Lucyfer, Szatan... - Dwadzieścia

cztery!

- Jednak ja sądzę, że dwadzieścia pięć - ciągnie Przegrodzki.

- Przelicz raz jeszcze.

- Dwadzieścia cztery - powtórza Młodnicki po powtarnej wylizance.

- Ale tego nie policzyłeś...

- kończy Igor Przegrodzki, stukając się w głowę.



ciąg dalszy ze str. 1

Co może jeszcze dziwniejsze, większą świadomość istnienia ESK we Wrocławiu mieli mieszkańcy wsi niż dużych miast.

Zastanawia brak projektów kulturalnych w propozycjach do Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego. Czyżby - mimo Europejskiej Stolicy Kultury - wrocławianie nie

wierzyli, że kulturalny projekt wygra z przebudową, remontem drogi lub instalacją oświetlenia?

Z całą pewnością ESK 2016 była impulsem do uczestnictwa w kulturze. Prestiżowy sztyl i nowy gmach przyciągają. Zauważmy jednak, że impulsy pojawiały się i przed ESK, niezależnie od tytułu. Noc Mu-

zeów była wcześniej niż Europejska Noc Literatury, festiwal Wratislavia Cantans czy Przegład Piosenki Aktorskiej miały w roku 2016 swe specjalne edycje, lecz istnieją od lat. Trzy najczęściej wskazywane wydarzenia, w których brał/a udział Pan/Pani to: **Thanks Jimi Festival i bicie gitarowe go rekordu, festiwal filmowy**

Nowe Horyzonty oraz Przebudzenie-ceremonia otwarcia.

Krzysztof Maj, szef generalny ESK 2016, dziś dyrektor biura festiwalowego, które przekształca się w nową instytucję Strefę Kultury, cieszy się, że wezbrała moda na kulturę, ludzie wyszli z domów, by w niej wziąć tłumnie udział. Najchętniej w imprezach otwartych,

darmowych. Nie zapominajmy jednak, że i po ESK działają żelazne zasady: oferta **musi mieć jakość, być przystępna** (także cenowo), trzeba o niej **interesująco powiadomić**, zachęcić **do przyścia** (codziennie robią to na antenie Radia Wrocław Kultura goście i gospodarze audycji). No i mieć cierpliwość, by poczekać na publiczność. Niekoniecznie od razu się zjawia. Co nam ten zestaw reguł przypomina? Tak, do pewnego momentu kultura jest produktem, a widz klientem. Potem staje się jej odbiorcą.

Grzegorz Chojnowski szef Radia Wrocław Kultura

ROZMAWIA SIĘ O TYM, CO BYŁO W KINIE

We wrocławskich Nowych Horyzontach – jak zawsze – obfita w wydarzenia jesień. Balet, opera, teatr, edukacja, ale najważniejsze są filmy. Od 8 lat jesień należy w NH przede wszystkim do American Film Festival. Nominowana rok temu do Emocji, nagród Radia Wrocław Kultu- ra, dyrektorka artystyczna tej imprezy Urszula Śniegowska m.in. o nowych trendach w odbiorze artystycznego kina zza oceanu.

Krzysztof Majewski: Niezależne kino amerykańskie w dystrybucji kinowej powoli się kończy, bardziej będzie im się opłacało publikować na platformach streamingowych?

Urszula Śniegowska: Straszenie się ciesze, że wreszcie poruszamy ten palący problem. Coraz częściej słyszę i widzę, jak reżyserzy, postrzegani jako niezależni, a zwłaszcza ich producenci, poddają się tej magii pieniądza zarobionego szybko i wygodnie. Ulegają propozycji takich platform jak Netflix, która blokuje, w zamian za prawa do emisji, wszystkie inne platformy pokazywania filmu. Z jednej strony – rozumiem, że rynek się zmienia i widzowie uciekają do wygodniejszych sposobów konsumpcji filmu. Z drugiej strony – myślę, że może się to skończyć zmianą jakościową w kinematografii amerykańskiej. A nie ma tam zbyt wielu sposobów żeby uniknąć czysto komercyjnego generowania środków na film i z filmu. Właśnie w tym środowisku, niezależnym, najbardziej dotkliwie jest ograniczenie ekspozycji filmu tylko do warunków domowych. Nie widać tego na pierwszy rzut oka zwykłego widza. Tak jak z filmami, które, Netflix, premierowo pokazał w Cannes: „The Meyerowitz Stories” czy „Okja”. Tylko na tak wielkim festiwalu była możliwość zobaczenia tych tytułów. Później one giną. Mimo że te platformy mają ogromny zasięg subskrybentów, to nie mają takiej siły jak promocja kinowa. Nie wyrabiają też takiego efektu w świadomości widza. Nie rozmawia się o tym, co było w telewizji, ale rozmawia się o tym, co zobaczyło się w kinach.

A czy nie jest tak, że to bardziej przystępne dla widza amerykańskie kino coraz mocniej rozpycha się na europejskich festiwalach? Tak, nie wiem, czy to jest stały trend, czy przypadek tego roku, ale liczba filmów amerykańskich, które pojawiły się w Cannes była znacząca. Podobnie w Toronto, ogromna liczba amerykańskich filmów. To bardzo pozytywne zjawisko, że udaje się nadal zachować tę różnorodność stylów. Ameryka ma tę moc. Udaje się tu nakręcić kolejnego Batmana i sequel filmu komediowego, znajdzie się miejsce dla nowego filmu animowanego Wesa Andersona i nowego filmu Paula Thomasa Andersona. Ten rok jest dla mnie optymistyczny, jeśli chodzi o żywotność talentów amerykańskich twórców.

Wrocław, Europa zaprasza USA do siebie w ramach, chociażby, projektu US in Progress.

I to nie tylko we Wrocławiu. W Paryżu, w ramach franczyzy, również działa program US in Progress. To jest współpraca. Oni biorą, powiedzmy, pierwszą połowę roku i my pomagamy im wybrać filmy w czerwcu, a w drugiej, w październiku, oni pomagają nam. Na podstawie tego projektu u nich rozwinął się Champs-Elysees Film Festival. We Francji to w ogóle ciekawie się rozwija, bo z jednej strony mamy zamiłowanie do swojej własnej kultury, a z drugiej zapatrzenie w Amerykę. To właśnie na tym festiwalu bardzo dobrze widać. Bardzo konkurencyjny dla naszych festiwali, o dużej większej tradycji i bogactwie programowym, jest Deauville American Film Festival. Działa już od niemal 40 lat, ale pokazuje znacznie więcej mainstreamowego amerykańskiego kina.

Są już udane przykłady filmów, które brały udział w US in Progress, a następnie zostały docenione na świecie. Tak, jest taki przykład synergii pomiędzy AFF i Nowymi Horyzontami, a także światowym oddźwiękiem. Film „Menashe” Joshuy Z. Weinsteina. To mały niezależny film, właściwie zrobiony własnym sumptem na Brooklynie. Dzięki pokazom branżowym na US in Progress film miał zrobioną całą postprodukcję w Polsce. Dwa miesiące później była premiera na Sundance i w Berlinie. W tym momencie ma zapewnioną dystrybucję w wielu krajach. Pokazaliśmy go już na Nowych Horyzontach i powtórzymy przy okazji AFF, gdzie spotkamy się też z jego producentem.

Oscarowy sukces „Moonlight” poprzestawiał akcenty w amerykańskim kinie?

Oscarowy sukces „Moonlight” poprzestawiał akcenty w amerykańskim kinie?

Oscarowy sukces „Moonlight” poprzestawiał akcenty w amerykańskim kinie?

foto: Lukasz Gawroński



Tak, używam tego argumentu, kiedy staram się zdobyć prawa do pokazania filmów na American Film Festival. Prywatnie przyjaźnię się z producentką „Moonlight” Adele Romanski i faktycznie jest tak, że gdyby nie ta znajomość, która wyniknęła dzięki jej obecności z dwoma filmami na AFF, to najpewniej nie udało się takiemu młodemu festiwalowi jak nasz zdobyć filmu cieszącego się tak

ogromnym hype'em na festiwalu w Toronto. Dzięki temu pokazowi mamy bardzo mocny argument dla pewnego amerykańskiego dystrybutora, który ma prawa do filmów bardzo nas interesujących.

Słyszałam, że nigdy nie widziałas „Gwiezdných Wojen”, to prawda? (śmiech) Widziałam starą trylogię, ale faktycznie nigdy nie obejrzałam nowej.

**Krzysztof Majewski
KULTURA DAB+Film,
piątek,
godz. 16:00–20:00
(powtórka
w sobotę od 8:00)**



Czy zainteresowanie kupniem sztuki we Wrocławiu się zwiększa i czy to inwestycja? Opowiadają (na zdjęciu od lewej): kolekcjonerka Lila Dmochowska, Karolina Jaklewicz z Galerii Socato i Magdalena Mielnicka z mia ART GALLERY.

Maciek Przystalski: Jaki jest rynek sztuki we Wrocławiu?

Magdalena Mielnicka: Jeśli mówimy o rynku sztuki jako o współdziałaniu wielu podmiotów

w rozwoju kultury, to jesteśmy na fali wznoszącej i czeka nas bardzo ciekawy czas.

Lila Dmochowska: Myślę, że nic się nie zmieniło. Od lat we Wrocławiu jest tyle samo galerii, niektóre zmieniły nazwę czy miejsce, ale jest pewien constans.

Karolina Jaklewicz: Odnoszę się do historycznego raportu Artinfo. To pierwszy raport, który w sposób rzetelny przedstawia rynek sztuki, więc warto do niego sięgnąć. Według niego udział miast w rynku jest następujący:

ZDROWY SNOBIZM BY SIĘ PRZYDAŁ



Warszawa to około 89%, natomiast Wrocław to 0,2%. Oczywiście należy uściślić, że chodzi o obroty aukcyjne. My reprezentujemy galerie, więc inny tryb obecności na rynku.

L.D.: We Wrocławiu od pewnego czasu działa dom aukcyjny DAES, który przeprowadził cztery aukcje przedmiotów po Barbarze Piaseckiej Johnson. Było też kilka aukcji szkła, ale chyba nie wszyscy o tym wiedzą.

Jaki macie stosunek do domów aukcyjnych?

M.M.: Na pewno powinno być ich kilka w tak dużym mieście, ale faktem jest też, że przypadkowa aukcja może źle wpłynąć na historię artysty. Aukcja czę-

sto, szczególnie jeśli dotyczy młodych, jest loterią. Ci, którzy wiedzą, co i kiedy można kupić za półdarmo, czyli np. za cenę wywoławczą, po prostu to robią. A w internecie nic nie ginie i w efekcie trudno jest potem, szczególnie młodemu artyście, odbić się od tej sumy. Ale mamy wspaniałą podaż sztuki i budzącą się świadomość. Profesor Hałas powiedział, że najpierw trzeba zbudować wrażliwość, a dopiero później buduje się świadomość. Zadaniem stałym więc wszystkich uczestników rynku sztuki, również we Wrocławiu, jest otwierać się na kulturę i sztukę, rozwijać się, budować swoją wrażliwość.

L.D.: Domy aukcyjne są bardzo potrzebne, ale rzeczywiście wylczyłabym debiutujących i młodych artystów. Z doświadczenia wiem też, że nie ma u nas wtórnego rynku sztuki. Przez lata namawiałam, najczęściej znajomych, na inwestowanie w sztukę. Grono osób zgromadziło pewne kolekcje, a po kilku latach okazało się, że nie bardzo da się je sprzedać. Galerie przyjmują tylko dzieła od samych artystów. W takiej sytuacji, można sprzedać je wyłącznie na aukcjach, albo spróbować pocztą pantoflową. I w tym momencie przestałam namawiać ludzi do

ciąg dalszy na str. 4

MODA I KINO

Na wystawie *Moda i Kino* zobaczymy ponad 130 kostiumów z najlepszych polskich filmów zrealizowanych w Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu, wytwórni, która działała od 1954 do 2011. Zostały odrestaurowane pod kierunkiem Marii Anny Duffek. Wystawa trwa do końca roku w Pawilonie Czterech Kopuł. W ogóle w magazynach wytwórni, dziś Centrum Technologii Audiowizualnych, jest około 16 tysięcy kostiumów.

Grzegorz Chojnowski: Magia miejsca dodaje tej wystawie wartości, bo to tu te filmy kręcono.

Malgorzata Możdżyńska-Nawotka, kuratorka ekspozycji: Tak, to szczególne miejsce, część dawnej wytwórni. W halach zdjęciowych, w pobliskim Parku Szczytnickim wiele tych sławnych ujęć powstało. Moje ulubione to wrocławska Pergola w roli madryckiego parku Buen Retiro w „Rękopisie znalezionym w Saragossie”.

Test pilota Pirxa



Na srebrnym globie



Rękopis znaleziony w Saragossie

Jakie było kryterium wyboru? Efektowność?

Efektowność, ale przede wszystkim wartość historyczną. Starano się zidentyfikować i uratować kostiumy będące dziełem najwybitniejszych polskich projektantów, którzy pracowali we Wrocławiu. Istotną rolę też miała popularność i znaczenie filmu. Mamy tu okres około 30 lat. Zaczynamy od „Popiołu i diamentu”, arcydzieła szkoły polskiej, a kończymy na „Kłątwe

KONKURS

Kontynuujemy naszą świeżą tradycję, by w każdym numerze Emocji pojawił się konkurs. Nagrodą jest radio z systemem DAB+, dzięki któremu można nas słuchać nie tylko za pomocą internetu (aplikacje mobilne, www.radiowroclawkultura.pl), lecz także klasycznie, z radioodbiornika. Dziękujemy za udział w poprzednim konkursie. Oczywiście, jedyną poprawną odpowiedź to: na start Radia Wrocław Kultura zabrzała „Epidemia euforii” grupy Klan. Radia DAB+ wygrali Państwo: Paulina, Kamila i Dariusz. Aktualne pytanie konkursowe brzmi:

Z KTÓREGO FILMU TO KOSTIUM?

- a/ Giuseppe w Warszawie
- b/ Nóż w wodzie
- c/ Popiół i diament

Wyślij do nas mail lub SMS z poprawną odpowiedzią, swoim imieniem i nazwiskiem. Czekamy do końca listopada. Nasz adres: kultura@radiowroclaw.pl, nasz nr SMS: 72280 (w treści należy wpisać rwkultura, poprawną odpowiedź – a/b/c – oraz swoje imię, nazwisko; koszt wysłania – 2,46 zł z VAT). Zwycięzców ogłosimy w kolejnym wydaniu naszej gazety i na antenie Radia Wrocław Kultura.



jak ci wybitni artyści – reżyserzy, projektanci kostiumów – radzili sobie z przedstawianiem historii, interpretacją współczesności i wreszcie z rysowaniem wizji przyszłości. Pokazujemy na wystawie kostiumy z dwóch sławnych polskich filmów fantastycznych, „Testu pilota Pirxa” i „Na srebrnym globie”. Ten ostatni ma szczególnie dramatyczną historię, bo produkcję przerwano w 1977 roku z ideologicznych przyczyn i na polecenie partyjne dekoracje i kostiumy zostały w większości zniszczone, spalone nad Bałtykiem, przetrwało to, co było we Wrocławiu. Te niesamowite kostiumy prezentujemy w formie prawie instalacji na kilkadziesiąt manekinów, robią wielkie wrażenie. Stworzyli je Magdalena Tesławska i Krzysztof Tyszkiewicz.

Kiedy się tak blisko obcuje z tymi kostiumami, to pewnie czuje się – mówiąc symbolicznie – zapach tamtych czasów.

Ze wszystkich przedmiotów, które miały związek z produkcją filmów kostium chyba najbardziej przemawia do wyobraźni, jego związek z aktorem był bezpośredni, cielesny. Te kostiumy przywołują sławnych wykonańców, sławne role, filmy, sceny, ujęcia. Poza tym to bardzo interesujące, gdy można zobaczyć pewne triki, na przykład, jak czasami niezgodnie z rzeczywistością historyczną stosuje się elementy graficzne, by dobrze

rysowały się na ekranie, rysowały postać aktora, współgrały z kamerą. W tym samym celu zresztą powtarza się kostiumy, akcesoria. Współdziałanie między artefaktami, czyli także kostiumem a taśmą celuloidową, używaną wówczas do kręcenia, to jest też fascynujący temat. Film jest w ogóle medium ruchu,

150 lat temu zmarł Charles Baudelaire (1821–1867)

DO PRZECHODZĄCEJ

Przez ryk potworny dźwięków ulicy wysoka, szczupła, w największym cierpieniu. Kobieta przesła, dłońmi delikatną zdejmując z twarzy żalobny ornament.

Pamiętam lekkość uniesionej nogi. Trzęsąc się cały, w jej oczach widziałem zsiniałe niebo, źródło huraganu, powab pożądania i namiętność śmierci.

Błysk nagły... Zaraz noc! Próżno szukać śladu po piękności, co życie przywraca od nowa. Czyżby wieczność nas mogła połączyć jedyną?

Gdzieś daleko! Nie tutaj! Za późno! Lub nigdy! Nie pytałem o drogę, Ty mojej nie znalazłaś. Ty, której dąbałbym miłością. Ty, co to poznałaś!

przełożył Grzegorz Chojnowski

ZDROWY SNOBIZM BY SIĘ PRZYDAŁ



ciąg dalszy ze str. 3

kupowania z myślą o tym, że kiedyś się na sztuce wzbogacą.

K.J.: Można mieć zastrzeżenia do domów aukcyjnych nastawionych na szybki zysk ze sprzedaży młodej sztuki, ale należy pamiętać o renomowanych domach aukcyjnych, jak chociażby warszawska Desa, która swoją wyselekcjonowaną ofertą kształtuje i wzmacnia rynek sztuki.

Podobno sztukę we Wrocławiu kupują najchętniej obcokrajowcy.

M.M.: Kiedy skończyłam ASP, bardzo często od znajomych

i rodziny słyszałam: „Madziu, namaluj mi obrazek, ty tak ładnie malujesz obrazki”. To był efekt całych dekad braku edukacji i taka była postawa społeczeństwa, że artysta jest kimś społecznie nieprzystosowanym i generalnie może sobie malować ładne obrazki. I to wciąż pokutuje. Natomiast, faktycznie, pierwszą poznana przeze mnie grupą, gdzieś na przełomie lat 2004/2005, która zainteresowała się rynkiem sztuki we Wrocławiu byli Irlandczycy, którzy przyjechali do Wrocławia w związku z zakupem jednego z banków. Oni nie wyobrażali sobie, żeby zwyczajnie dekorować ściany, tylko bardzo anga-

żowali się w to, co wybierali. Zupełnie niezwykle doświadczenie ciekawości, otwartości i poziomu odbioru. Mogę powiedzieć, że dziś w naszym mieście mamy już podobnych, fantastycznych odbiorców sztuki, tylko trzeba do nich dotrzeć. Musi to być jednak inny rodzaj relacji, niż „żeby artysta przetrwał zimą”. To raczej piękna historia poszukiwania swojego lustra w sztuce.

K.J.: W Socato staramy się stworzyć warunki do prezentacji dla artystów, do tego, żeby mieli kontakt z publicznością. Czy to się przekłada na sprzedaż? Tak, coraz bardziej. Oczywiście rynek wrocławski, to także ludzie spoza miasta, spoza Polski. Nasz

Rok 2017 ma być rekordowy pod względem liczby aukcji na polskim rynku sztuki. Przybywa firm zajmujących się handlem sztuką, zwiększa się liczba wydarzeń. Coraz lepiej sprzedaje się tzw. „młoda sztuka”, średnia cena sprzedaży waha się tu od 800 do 1500 złotych, ale liderzy (Arabska, Plucha, Bakalarz) sprzedają za 20–30 tys. zł. Polska sztuka współczesna nieźle sobie radzi. Bujnowski, Rogalski, Sasnal uzyskują kwoty od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy zł. Rzeźba Magdaleny Abakanowicz została kupiona w marcu za ponad 300 tys., „Powstanie Warszawskie” Piotra Uklańskiego poszło w kwietniu za 254 tys. zł. W piątce najdrożej sprzedanych fotografii w ostatnim półroczu znajdujemy dwie pozycje autorstwa wrocławianki Natalii LL – „Sztukę postkonsumpcyjną” (56 tys.) i „Sztukę konsumpcyjną” (56 640 tys.), oba cykle pochodzą z połowy lat 1970. W internecie można znaleźć oferty kupna obrazów innych wrocławskich artystów. Na prace dobrych malarzy młodego i średniego pokolenia (np. Karolina Jaklewicz, Anna Kołodziejczyk, XY Anka Mierzejewska, Piotr Butkiewicz, Łukasz Huculak) trzeba wydać od kilku do nawet 10 tys. złotych. Wg Artinfo, najdroższa transakcja w pierwszym półroczu 2017 roku dotyczyła dzieła Jana Matejki. Za „Zabicie Wapowskiego podczas koronacji Henryka Walezego” zapłacono w czerwcu 3 miliony 683 tys. złotych.

Przegląd Młodej Sztuki „Świeża Krew” to spotkanie ze sztuką, która za moment się rozwinię. To dobry czas dla początkujących kolekcjonerów. Magda w swojej ofercie nawiązuje do klasyki wrocławskiej, a u nas publiczność jest bliższa pokoleniowo artystom. Natomiast w ogóle nie podoba mi się mówienie o rynku sztuki tylko w sensie sprzedaży dzieł. Bo tak naprawdę, to nie jest towar, i to, że płacimy za sztukę, znaczy tyle, że uczestniczymy w kulturze. Kupując bilet do NFM-u czy kupując książkę, nie mamy przecież poczucia, że robimy coś komercyjnego. I chyba podobnie jest z dziełami sztuki – tak naprawdę uczestni-

czymy w kulturze. Tak jak sport jest konieczny do tego, żeby utrzymać ciało w dobrej formie, tak uczestnictwo w kulturze potrzebne jest do utrzymania w dobrej formie umysłu i ducha.

L.D.: I właśnie – ludzie ćwiczą, a później mają wspólne zawody, mityngi, maratony. Sporo mówimy o tym, żeby zarazić kolekcjonowaniem, ale mało dbamy o to, by tych ludzi dowartościować. Może czasem o nich napisać, może zaprosić na wystawę.

Maciej Przelastalski KULTURA DAB+ Sztuka, środa, godz. 16:00–20:00 (powtórka w czwartek od 8:00)

Może galerie czy muzea powinny mieć w zwyczaju, choć raz w roku zorganizować wystawę z prywatnych zbiorów wrocławskich? Nie tworzy się „zdrowego snobizmu”, czegoś, co naszemu miastu na pewno by nie zaszkodziło. A taki przykład powoduje, że inni zarażają się sztuką.



Job Karma: 20 lat filmu dla uszu

O inspirującej rzeczywistości i niesłabnącej pasji tworzenia – opowiadają Maciek Frett i Arek Bagiński z zespołu Job Karma, który w listopadzie – podczas XVI Wrocław Industrial Festival – będzie celebrował dwie dekady istnienia.

Andrzej Józwik: Odwołując się do bliskiej Wam kultury industrialnej zapytam, jakie paliwo napędza Job Karmę?

Maciek Frett: Przez te wszystkie lata paliwem była i jest pasja. To, co wypływa z serca, a potem jest filtrowane przez konkretne doświadczenia. A doświadczeń jest cała masa. To kalejdoskop życia, poczawszy od doniesień medialnych, trendów i stylów życia, technologii, natury, mistycyzmu i odwiecznego dualizmu, a skończywszy na wydarzeniach historycznych. Szeroki wachlarz inspiracji. Również osobistych, które mocno wpisują się w kulturę industrialną.

Na zawsze wierni industrialowi?

MF: Uważam, że to atrybut i ważny znak rozpoznawczy, ale muzyka Job Karmy ma szerszy wymiar i bardziej do niej pasuje określenie „film dla uszu”. Jest mroczna, czasem też i taneczna. Chętnie sięgamy po ambientowe formy.

Job Karma jest związana z Wrocławiem. Ma to dla Was znaczenie i rzutuje na muzykę?

MF: Mieszkam tu od 25 lat. Wcześniej żyłem w Karpaczu. Wrocław jest wyjątkowy. Składają się na to jego bagaż i uwarunkowania historyczne, a także położenie pomiędzy Berlinem i Pragą. Ważna jest mocna awangardowa tradycja np.: Grotowski, Pomarańczowa Alternatywa, Luksus. To działa inspirująco i ułatwia zaistnienie takiej twórczości, jak nasza.

Arek Bagiński: Do tych ważnych punktów odniesienia dorzuciłbym więc silne okolopunkowe działania, teatr otwarty, Kormorany, Antenę Krzyku.

Aureliusz Pisarzewski, trzeci filar zespołu, od paru lat żyje w Dubaju. Co to oznacza dla Job Karmy?

MF: To nie jest komplikacja, która szczególnie przeszkadza. Żyjemy w epoce cyfrowej. Wspólne tworzenie „na odległość” jest możliwe i z tego chętnie korzystamy. Oczywiście, doceniam wagę wspólnego przebywania, gdyż wiąże się z nią tzw. „chemia” między ludźmi. Lepiej obgadać nowy pomysł przy stoliku w kawiarni niż za pomocą maili.

AB: Zespół nadal koncertuje. Rządziej na trasach, koncertach,



raczej na festiwalach. Cały czas jesteśmy i aktywni, i gotowi na nowe wyzwania.

Gdyby nie przyjacielskie więzi, nie byłoby Job Karmy?

MF: W czasach studenckich wynajmowałem z Aureliuszem stancję i tam odbywały się pierwsze próby i rejestracje materiału na pierwsze płyty. Chodziliśmy po górach, jeździliśmy na przeróżne koncerty. Wspólne pasje zbliżają.

20 lat za Wami. Jakież graniczne przemyślenia?

MF: Każdy koniec jest początkiem czegoś nowego. To wynika z egzystencji. Nie można stać w miejscu. Zmiana jest konieczna. Zmienia się muzyka, my się zmieniamy. Umysł ludzki nie zna granic.

AB: Patrzymy szerzej. Sytuacja w kraju i na świecie jest bardzo dynamiczna i to musimy uwzględnić. Job Karma to projekt audiowizualny i za ten drugi aspekt jestem odpowiedzialny. To także specyficzny i konkretny przekaz, wynikający z naszego społecznego zaangażowania.

Energii Wam nie brakuje?

MF: Nie, choć tematyka su-

geruje inaczej. Wystarczy prześledzić tytuły naszych płyt. Ostatnia „Society Suicide” poświęcona jest zmianom globalnym i końcowi pewnej epoki. Technologizacja grozi odczłowieczeniem. Poprzednie nasze wydawnictwa też do tego nawiązują. Ten wątek jest kanwą naszej wyprawy do Czarnobyla, po której wydaliśmy płytę i wyprodukowaliśmy filmy. Niedawno graliśmy na festiwalu Soundrive w Gdańsku, w historycznej Stoczni, i jako nieco starsi od reszty wykonawców (i publiki) spotkaliśmy się z dobrym przyjęciem, choć usilnie dociekano, dlaczego gramy tak smutną muzykę. My nie jesteśmy nastawieni hedonistycznie i głodni przyjemności. To nas już nie interesuje.

AB: Pracę w zespole musimy dzielić z innymi zawodowymi obowiązkami. Realizujemy

**Andrzej Józwik
KULTURA DAB+Muzyka,
poniedziałek,
godz. 16:00-20:00
(powtórka we wtorek od 8:00)**



ZAMIESZANI W KULTURĘ:

Łukasz Damrych

Mówią o nim 'szara eminencja wrocławskiej sceny muzycznej'. Producent, pianista, kompozytor. O początkach i nowych projektach w rozmowie z Radiem Wrocław Kultura.

Ewa Zając: Czujesz się szarą eminencją wrocławskiej sceny muzycznej?

Łukasz Damrych: (śmiech) Rzeczywiście jestem zamieszany w kilkanaście projektów, szarą eminencją bym jednak siebie nie określił! Ale fakt – działałam z różnymi ludźmi, starałam się udzielać jak tylko mogę.

Do Wrocławia przyjechałeś z Lubina.

Tak, za swoją żonę Agnieszką, ona dostała angaż w Teatrze Capitol, a ja się do niej przykleiłem. Zaczęłam chodzić do Wrocławskiej Szkoły Jazzu i Muzyki Rozrywkowej, a mieszkaliśmy wtedy w mieszkaniu teatralnym

Capitolu i tam poznałem Bartka Porczyka. Tak to się zaczęło! Kilka lat później zrobiliśmy razem spektakl „Smycz” i byłem producentem jego płyty „Sprawca”.

Po drodze był jeszcze Ocelot?

To był taki teatr akrobatyczny, inspirowany Cirque du Soleil. Ja tam robiłem muzykę, to był mój pierwszy poważny job. Nie uczyłem się nigdy pisać muzyki, robiłem to zupełnie intuicyjnie, ale jakoś wychodziło (śmiech). Zjeździłem z nim całą Europę, graliśmy w salach, gdzie występowały największe światowe gwiazdy. W końcu jednak zrezygnowałem z Ocelota, był ten czas, że trzeba było podjąć decyzję.

I wtedy zadzwonił telefon...

Zadzwonił przyjaciel i mentor Piotr Dziubek. Spytał, czy nie zastąpiłbym go w zespole Katarzyny Groniec. I tak gram z Katarzyną od 10 lat, produkuję też jej płyty, aranżuję. Kiedyś, kiedyś

byłem na jej koncercie i pomyślałem – z taką osobą zagrać, to byłoby coś! No i proszę, los bywa dla mnie łaskawy.

Produkcją płyt zająłeś się na dobre.

Zgadza się, produkuję dużo. M.in. Shata QS, dwa albumy Bartka Miarki. Teraz kończę bardzo ciekawy album zespołu Jakim Cudem, muzyka ludowa nowoczesnie, pracuję z Leskim, Elą Dębską, Jackiem Czyżewskim. Od dwóch lat próbuję ukończyć swoją płytę, nie jest łatwo, wszystko inne jest ważniejsze.

Co to za album?

Dziesięć piosenek, które napisałem dwa lata temu po cudownym urlopie. Wymyśliłem sobie, że każdą piosenkę zaśpiewa ktoś inny. Będzie Natalia Lubrano, Natalia Grosiak, Paulina Lenda. Martijn Krake, moja żona oczywiście – kwiat naszej sceny (śmiech).



A jak oceniasz tę naszą scenę?

To, co jest u nas bardzo ważne – to bardzo przyjacielski układ. Tego nie ma chyba w żadnym innym mieście i wiem, że nam zazdroszczą. Ja sam organizuję wyjazdy muzyków w góry, wyjeżdżamy sobie na dwa-trzy dni, tylko faceci. Chodzimy, spacerujemy, dyskutujemy, imprezujemy, jest bardzo fajnie.

Taki mini wyjazd integracyjny?

Tak. My tu naprawdę bardzo się lubimy, kumplujemy, miksu-

w roku kilka artystycznych przedsięwzięć. Pracujemy z kalendarzem w rękę. Kończymy działanie i rozpoczynamy następne. Szczerze mówiąc, przydałoby się kiedyś poświęcić więcej czasu na Job Karmę – nie ma już, niestety, takich warunków, żeby przez pół roku np. pracować nad filmem animowanym.

Czym dla Job Karmy jest Wrocław Industrial Festival?

MF: To nasze najważniejsze produkcenckie przedsięwzięcie i emanacja pasji. Korzenie są undergroundowe, ale na festiwal przyjeżdżają ludzie z całego świata, gdyż jest to jedno z nielicznych wydarzeń prezentujących sztukę okołoindustrialną na taką skalę. We Wrocławiu pojawiają się najważniejsze nazwiska sceny industrialnej, ciekawi debiutanci, blisko 600 osób na widowni, z czego większość to publika z zagranicy, która do nas wraca.

AB: Nowy pomysł to cykl Trzecia Kwadra. Karkonoska Noc Muzycznej Awangardy. Chcemy eksplorować nowe miejsca. Graliśmy w Starej Kopalni w Wałbrzychu. Zależy nam na obecności w takich miejscach i myślimy o odbiorcach kultury spoza Wrocławia. To nas też napędza. To nasz kierunek.

AB: Nowy pomysł to cykl Trzecia Kwadra. Karkonoska Noc Muzycznej Awangardy. Chcemy eksplorować nowe miejsca. Graliśmy w Starej Kopalni w Wałbrzychu. Zależy nam na obecności w takich miejscach i myślimy o odbiorcach kultury spoza Wrocławia. To nas też napędza. To nasz kierunek.



jemy w różnych składach, nikt nikomu nie robi pod górę, nie ma złośliwości. A poza tym trzymamy muzyczny poziom!



ARTYSTYCZNY RECYKLING JACKA WHITE'A

Przyznam, że dość nieufnie podchodzę do biografii artystów, którzy wydają się być w pełni sił i którym do końca kariery jeszcze sporo brakuje. Zazwyczaj potrzeba czasu i odpowiedniego dystansu, by właściwie ocenić czyjs dorobek. Książki o jednosezonowych gwiazdkach pisane w momencie, gdy mają one swoje pięć minut dezaktualizują się błyskawicznie, a służą jedynie szybkiemu zarobkowi ich autorów. Przypadek Jacka White'a to jednak zupełnie inna historia, bowiem, niezależnie od tego, jak dalek potoczy się jego życie i kariera, już to, co udało mu się zrobić do tej pory zasługuje na szczegółowe omówienie. Jest o czym pisać; świadczą o tym rozmowy z Nicka Hasteda, która łączy przeszło 500 stron.

Tytuł „Obywatel Jack” to inwencja polskiego tłumacza. Oryginalny brzmi tak, jak polski podtytuł z drobną korektą, a więc „Jak Jack White zbudował imperium z bluesa”. Ten „obywatel” nie wziął się oczywiście znikąd. O tym, że bohater książki jest fanem Orsona Wellesa i jego filmu „Obywatel Kane” dowiadujemy się bardzo szybko, a potem przypomina nam się ten fakt nieustannie. White zdaje się mieć na punkcie legendarnego reżysera i jego największego dzieła prawdziwą obsesję (wiadomo, że oglądał film kilkadziesiąt razy). W przypadku Wellesa najbardziej zadziałała na jego wyobraźnię artystyczna wolność (i pełna kontrola nad każdym aspektem filmu), jaką sobie zagwarantował przystępując do pracy nad debiutem. Natomiast jeśli chodzi o główną postać filmu, magnata prasowego, kończącego żywot w potężnej rezydencji, ale i w samotności, to wizja, która spędza artystyce sen z powiek.

Jack White pokonał bardzo długą drogę, od właściciela zakładu tapicerskiego do fonograficznego potentata i muzyka ogłoszonego parę lat temu przez prestiżowy magazyn „Uncut” „artystą pierwszej dekady XXI wieku”. Co jeszcze bardziej imponujące, pokonał tę drogę na własnych warunkach, bardziej wbrew, niż w zgodzie z szolbiznesowymi regułami. White nie współpracował z autorem przy tej książce. Na wzór swego innego idola, Boba Dylana, obsesyjnie chroni swoją prywatność. Raczej nie należy się więc spodziewać w przyszłości autobiografii. Nick Hasted odbył za to setki rozmów z osobami, które muzyk przez wszystkie lata spotkał na swej drodze. Przede wszystkim odszukał dawnych znajomych z jego rodzinnego Detroit. Głównym bohaterem książki jest oczywiście White, ale książka Hasteda ma też bohatera drugoplanowego. I to jest właśnie miasto Detroit i jego barwna rockowa scena, z którą na początku nowego wieku wiązano duże nadzieje (to miało być drugie Seattle). Gdy

The White Stripes odnieśli wielki sukces, wydawało się, że to dopiero początek podboju świata przez tamtejszych artystów. A gdy okazało się, że jednak nikt inny nie ma tyle determinacji i talentu, by pójść drogą wytyczoną przez White'a, pojawiła się zazdrość, zaczęły konflikty, atmosfera robiła się coraz mniej przyjemna, do tego stopnia, iż White, przekonany kiedyś, że całe życie spędzi w Detroit, zmuszony był szukać nowego miejsca do życia (znalazł je w Nashville).

Jest w książce parę scen, gdy White wpada w gniew i rozprawia się fizycznie bądź tylko werbalnie z przeciwnikami (prawdziwymi bądź urojonymi), ale to nie jest książka dla tych, którzy w rockowych biografiach szukają przede wszystkim sensacji i opisu hulającego życia. Nie ma tu imprez, narkotyków i alkoholu. To książka o artyście, który – jeśli jest od czegoś uzależniony – to od działania, wcielania w życie kolejnych szalonych pomysłów (nie tylko muzycznych zresztą). Tytułowe imperium, czyli firma Third Man wydaje przecież nie tylko płyty, sama jest na dobrą sprawę dziełem sztuki. To przedsiębiorstwo nastawione nie tylko na zysk. „Jeśli

dzięki rzeczom, które powołaliśmy do istnienia, ktoś dowie się czegoś o sztuce i kreatywności, to będzie to dla nas najwyższa forma spełnienia, warta każdego wydatku tu centa”, mówi White. Jest wiecznie niespokojnym duchem nieznoszącym wygody, człowiekiem lubiącym utrudniać sobie życie (wygoda, jego zdaniem, zabija kreatywność, a niewygoda zmusza do szukania nowych rozwiązań).

White odniósł niewiarygodny sukces. Sam nie uwierzyłby, gdyby w momencie startu The White Stripes, ktoś powiedział mu jak daleko zajdzie. W czasach, gdy trudno o w pełni oryginalną wypowiedź artystyczną, White znalazł inny sposób na swoją twórczość – coś, co można nazwać kreatywnym recyklingiem. Sam powiedział, że to, co robi kojarzy mu się z działalnością handlarzy starzyzną. „Bierzesz elementy niedostrzegane przez innych i robisz z nich coś pięknego, przywracając im tym samym życie” – taką wypowiedź swego bohatera Nick Hasted przytacza w którymś momencie swej solidnej, ze wszelkich miar godnej polecenia, książki.

NICK HASTED „Obywatel Jack. O tym, jak Jack imperium z bluesa zbudował” (Wyd. In Rock)

ŚCIANA DŹWIĘKU, wtorek, godz. 21:00

RADIO WROCLAW KULTURA

Jerzy Węgrzyn



Jazz to muzyka uwolnionego człowieka

– Prawdziwie wierzę w muzykę. Uważam, że to jest jedna z ostatnich uzdrawiających sił na świecie. Wierzę, że prawdziwe doświadczenia artystyczne to takie, które zmieniają. Takie, które angażują emocjonalnie, intelektualnie, fizycznie. Wierzę, że muzyka może ratować życie.

Tak o doświadczeniu muzyki wypowiada się Edin Zubčević, dyrektor artystyczny Jazz Fest Sarajevo. Dlatego program festiwalu to program bez kompromisów. Muzyka prezentowana przez 6 dni festiwalu nie ma zabawiać, ale ma być konfrontacją z absolutem.

– W czasie obłędnego odnalezienia prawdziwego znaczenia muzyki. Czasami również zdrowy rozsądek.

Doświadczenie bycia na granicy śmierci, twarzą w twarz z nią, rodzi smak muzyczny, który szuka prawdy i nie zadowala się półśrodkami. To już nie jest kwestia „podobania się”, ale potrzeba duszy.

– Tego nauczyłem się, gdy miałem wypadek samochodowy i miałem złamanych 13 kości. To było na miesiąc przed festiwalem w 2012. Jedną z najważniejszych lekcji, jakiej nauczyłem się na temat muzyki. Nie byłam w stanie



uchać tzw. muzyki mainstreamowej, zwyczajnej. Słuchałem tylko hardkoru. Mogłem wytrzymać tylko hardkor impro. Najbardziej wymagającą muzyką, jaką możesz sobie wyobrazić. Bo żyłem w świecie, który nie był już dla mnie bezpiecznym miejscem. To było jak na wojnie.

Tylko ta muzyka korespondowała z jego stanem fizycznym. Podobnym do tego, w jakim znajduje się traumatyzowane społeczeństwo bośniackie. Jazz Fest Sarajevo powstał, aby celebrować wolność, zakończenie czteroletniej, okrutnej wojny. Z idealizmu, z wiary w niemożliwe.

**Urszula Andruszko
DŹWIĘKI ŚWIATA,
niedziela, godz. 16:00-19:00**



John Mayall

„Talk About That”, czyli sky is no limit

Gdyby ktoś myślał, że muzyka bluesowa umarła, musi sięgnąć po najnowszy krążek Mayalla. Słusznie nazywany ojcem brytyjskiego bluesa muzyk, nie patrzy w kalendarz i mimo 80 lat na karku, ośmieszając wręcz młodocianych kompozytorów. To w zasadzie nic nowego. Mayall w latach 1960. był niczym ojciec dla wschodzących gwiazd, takich jak Clapton, McVie, Jack Bruce, Peter Green czy Mick Taylor. Jego grupa John Mayall Blues Breakers nasycała talentami, które później odchodziły i tworzyły swoje własne bandy. Nagrania z tamtych lat są dzisiaj klasykami. Te z „Talk About That” potwierdzają jedno – po pół wieku, nie ma mowy o odcinaniu kuponów od sławy. Na krążku dostajemy wszystko to, za co Mayall dał się pokochać. Funkrock, bluesrock, jazzrock, czysty blues, rozbudowane sekcje dęte i partie klawiszowe samego mistrza. Oczywiście, nie mogło też zabraknąć harmonijki ustnej („Goin' Away Baby” z repertuaru Jimmy'ego Rogersa), ale i licznych odwołań do bluesa nowożytnego („It's Hard Going Up autorstwa Little Sonny'ego i „Don't Deny Me” Lynna Williamsa). Najciekawszy numer? „Cards on the Table” oraz cudnej urody ballada „The Devil Must Be Laughing”. Obecny tu Joe

Walsh (The Eagles) zaznacza swoją obecność oryginalnymi wstawkami gitarowymi – głównie jest to tech-



nika grania metodą slide, ale przede wszystkim chodzi o świetne, mięsiste solówki. Najważniejsze, że Mayall nie udziwnia, nie szuka sztucznych zabiegów, posiłkując się na przykład elektroniką. Jego blues jest jak wino, im starszy, tym lepszy. Ta muzyka sprawia wrażenie bardzo przestrzennej. Ma się odczuć, jakby John nadal zostawiał sobie jeszcze te dwa, trzy procent do swojego sufitu. Nie przeży przed nami muskułów, tylko pokazuje, ile radości daje mu możliwość ciągłego grania i... rozwijania się. Słuchacz to doceni, chociaż nagrań nie warto słuchać „w biegu” – wtedy

tracą na wartości. Trasa koncertowa, jaka odbyła się z okazji wydania płyty (dwa występy w Polsce), to tylko potwierdzenie jego klasy. Wspaniałe zgranie z zespołem, długie improwizacje na temat znanych dzieł i absolutna precyzja w każdym dźwięku. Można pokusić się o jeszcze jedną, subiektywną dygresję. W 2016 roku inna legenda, zespół The Rolling Stones, zademonstrował swoją wersję holdu dla bluesa. „Blue and Lonesome”, jednak w żadnym wypadku nie dopisał kolejnej kartki do historii gatunku. To pokazuje, że jest ciężko. Nawet sam wspomniany wyżej Clapton ma problemy, by wyjść poza swój schemat, polegający na odgrzewaniu smakowitych, ale powtarzalnych kąsków. Starym się nie udaje, młodym się nie chce. A John Mayall pewnie za chwilę znowu zaskoczy czymś nowym.

MUZYKA LEGENDARNA, czwartek, godz. 21:00

RADIO WROCLAW KULTURA

Michał Kazulo



ZAMIESZANI W KULTURĘ:

KUBA STANKIEWICZ

Wrocławianin, pedagog, pianista jazzowy, który w latach 1990. uczył się jazzu w Bostonie, by po powrocie do Polski stać się jednym z naszych najbardziej cenionych muzyków. Od kilku lat wydaje płyty z przez siebie zaaranżowaną muzyką filmową kompozytorów, którzy zrobili karierę w Hollywood, mając polskie korzenie. Wyszedł z tego już trylogia, a nawet tetralogia (licząc płytę z muzyką Wojciecha Kilara).

Grzegorz Chojnowski: Kuba? Nie Jakub?

Kuba Stankiewicz: Kuba. Jakub dla urzędu skarbowego.

Zatem, Panie Kubo, wyróżnia się indywidualnym podejściem do kompozycji, wrażliwością na barwę dźwięku, wycuciem dynamiki, przestrzeni - to jest oficjalny tekst z jednego z pańskich biogramów. Trafny?

Trudno mi się do tego odnieść. Uważam, że muzyka powinna mówić sama za siebie. To są tylko słowa. Krytycy i odbiorcy oceniają subiektywnie to, co słyszą. Wolę, gdy przemawia dźwięk.

Ale to indywidualne podejście do kompozycji jest słyszalne, tak samo jak swoista barwa dźwięku.

Wydaje mi się, że muzyka zazwyczaj jest odbiciem osobowości. Każdy człowiek to indywidualność, jego twórczość też powinna być. Nielatwo zostać solistą, niewielu się udaje, więc niektórzy muszą się dopasować. Myślę, że twórczość nie lubi wyścigów i ten zagoniony świat, który nas otacza, ten wyścig szczurów, to coś, czego lepiej unikać, będąc artystą. Nie ma drogi na skróty, trzeba robić swoje, najlepiej jak się potrafi, mimo chwilowego zwątpienia, a owoce prędej czy później przyjdą. Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że lubię to, co robię. To już jest powód do zadowolenia. Oczywiście, jak to w życiu, są wzloty i upadki, staram się podchodzić do nich na spokojnie. Nie chodzi o to, aby w tym naszym dziwnym świecie być tak

zwanym celebrytą, zawsze na topie, być znanym z tego, że jest się znanym. Jazz jest gatunkiem elitarnym, nigdy nie będzie miał takiej publiczności, jak pop. Ale może to i dobrze. Istnieje pewna grupa odbiorców, i coraz więcej młodzi, zmęczona tą muzyczną papką. Oni szukają czegoś nowego, czegoś innego, by na tym budować swoją wrażliwość.

Od początku fortepian był instrumentem docelowym?

Tak. Byłem w szkole muzycznej, grałem klasykę, a zainteresowanie jazzem pojawiło się, kiedy jako nastolatek trafiłem do zespołu jazzowego, w którym był Piotrek Wojtasik, Darek Oleszkiewicz. Nic nie umieliśmy, ale mieliśmy olbrzymi zapal. Wtedy właściwie nie można było nauczyć jazzu w szkolnictwie muzycznym. Zaczęłem więc spisywać solówki mistrzów i poprzez to się uczyć. Dopiero później dowiedziałem się, że postępowanie tak samo jak kiedyś Charlie Parker, który kopiował Lestera Younga czy Colemana Hawkinsa. W jazzie tak naprawdę każdy jest samoukiem. Możemy posłuchać starszych kolegów, na pewno dużo daje granie z bardziej doświadczonymi muzykami. Staram się swoim studentom powiedzieć na zajęciach, że tak naprawdę ja mogę im tylko otworzyć pewne drzwi, ale oni sami muszą przez te drzwi przejść.

A Panu te drzwi kto otworzył?

Sporo ludzi. Pamiętam, że kiedyś pojechałem na warsztaty jazzowe do Chodzieży, tam spotkałem Wojtkę Groborza, krakowskiego pianistę bebopowego. On wyjął mi wiele rzeczy o skalach, o akordach. Tu, we Wrocławiu działali Jurek Kaczmarek czy Wojtek Jaworski, moi starsi koledzy, którzy też tych drzwi mi uchyliłi. Potem trafiłem do zespołów Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Zbigniewa Namysłowskiego, no i to już były poważne drzwi.

Przez te drzwi Namysłowskiego pojechał Pan do Stanów Zjednoczonych.

Dostałem stypendium w Berklee College of Music. Zajęcia były oczywiście ciekawe, ale kto wie



TWÓRCZOŚĆ NIE LUBI WYŚCIGÓW

czy nie ważniejsze to poznawanie muzyków, którzy przyjeżdżali z całego świata, granie z nimi koncertów. Do dzisiaj w kalendarzu mam ich imiona i nazwiska. Berklee College of Music to taka jedna wielka muzyczna rodzina.

Dzięki pobytowi w Stanach zagrał Pan w big bandzie Artiego Shawa.

Podczas ostatniego semestru w Bostonie, ktoś mnie tam usłyszał i zaproponował współpracę. Poszedłem do Paula Schmellinga, szefa departamentu pianistów mojej szkoły, zapytałem, co robić. Spojrzył na mnie i powiedział: „Go!”. Na to ja, że to ostatni semestr, mam jeszcze zajęcia w zespolech i solo. Poradził, żebym na zespoły podstawiał kaskadera, a o fortepian solowy żebym się nie martwił, bo tam się nauczę więcej niż na zajęciach. Paul wiedział, co w danym momencie dla młodego człowieka jest ważniejsze.

Nie miał Pan pomysłu, by zostać w Stanach?

Ja jednak czuję się Europejczykiem, a poza tym - to temat na szerszą dyskusję - dzisiejsza Ameryka także ma swoje problemy. Artystycznie, muzycznie to wielki świat, ale wcale nie żyje się tam łatwiej. No i dziś miejsce zamieszkania naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia, wsiadłem w samolot i za 11 godzin jestem w Los Angeles, jeżeli trzeba.

Wrócił Pan ze Stanów już chyba doskonale wiedząc, w którym kierunku iść. Szybko dostał Pan nagrody, wydał płyty. Jak się zdobywa uznanie?

Nie jestem zwolennikiem dzia-

łania na pokaz. Nie poświęcam wiele czasu na biznes i marketing, bo wtedy cierpi muzyka. Cały czas starałem się realizować swoje projekty. Dyskografia urosła.

Skromny Pan jest.

Mnie się wydaje, że muzyka to sprawa pokory. Bodajże Béla Bartók, zapytany o konkursy, powiedział, że konkurs jest dla koni, a nie dla artystów i ja się z nim zgadzam. Teraz mamy wyścig na każdym kroku, kto szybciej, kto więcej. Tak naprawdę, kogo to interesuje?

Za chwilę będzie kolejny wyścig, kolejny zwycięzca.

Taka jest kolej rzeczy, trzeba się nie dać zwariować mirażami tego świata. Trzeba wiedzieć, co ważne, mieć jakąś swoją wizję i kroczyć w tym kierunku. A co życie przyniesie, zobaczymy.

W ostatnich latach kroczy Pan w kierunku własnych aranżacji twórczości kompozytorów muzyki filmowej. Ta muzyka w Pana życiu chyba sporo znaczy.

Musimy sobie zdawać sprawę z tego, że większość standardów amerykańskich to są albo piosenki napisane do musicali broadwayowskich, albo właśnie muzyka filmowa. Zresztą i w Polsce tak było. Najpierw piosenka do filmu, potem przebieg. A jeszcze później brali go na warsztat jazzmeni, troszeczkę zmieniali harmonię i powstawały tzw. evergreeny, standardy.

Gdyby nie film Polańskiego, kołysanka Komedii miałaby trudniej. Film ją poniósł.

Pan od kilku już ładnych lat sięga po polskich kompozytorów. Zaczęło się od Kilara.

Wojciech Kilar traktował swoją

muzykę do filmów po macoszemu, uważał, że tak naprawdę ważna jest ta symfoniczna. Ale to był wybitny kompozytor i okazało się, że jego filmowe utwory są świetne. A znakomitej kompozycji dobrze w każdym ubranku, czy jazzowym, czy rockowym, popowym.

Kilara nagrał Pan solo, ale kolejne albumy, z muzyką Victora Younga, Bronisława Kapera i Henryka Warsa już z zespołem.

Tak, te trzy płyty mają tę samą sekcję rytmiczną - Darek Oleszkiewicz na kontrabasie, Peter Erskine na perkusji, ja na fortepianie, to samo studio nagraniowe w Los Angeles oraz wspólny pomysł. Zarówno Young, Kaper, jak i Wars to osoby mocno związane z Polską. Wars i Kaper urodzili się w Warszawie i wyemigrowali, a Young wprawdzie urodził się w Chicago, ale studiował w Warszawie. Po śmierci mamy wraz z siostrą został wysłany na wychowanie do dziadków do Polski. Debiutował jako skrzypek w Filharmonii Warszawskiej. No a potem napisał „Stella by Starlight”, „When I Fall in Love”, „My Foolish Heart” i wiele innych.



PROGRAM RADIA WROCLAW KULTURA

PNIEDZIALEK	WTOREK	ŚRODA	CZWARTEK	PIĄTEK	SOBOTA	NIEDZIELA
0:00 PLAYLISTA	0:00 PLAYLISTA	0:00 PLAYLISTA	0:00 PLAYLISTA	0:00 PLAYLISTA	0:00 PLAYLISTA	0:00 PLAYLISTA
5:00 GRAMY	5:00 GRAMY	5:00 GRAMY	5:00 GRAMY PO	5:00 GRAMY PO	8:00 KULTURA DAB+	8:00 AKADEMIA
PO POLSKU	PO POLSKU	PO POLSKU	POLSKU	POLSKU	FILM I SERIAL	MŁODYCH
8:00 PLAYLISTA	8:00 KULTURA DAB+	8:00 KULTURA DAB+	8:00 KULTURA DAB+	8:00 KULTURA DAB+	(powtórka)	RADIOWCÓW
15:00 GRAMY PO	MUZYKA	TEATR (powtórka)	SZTUKI	LITERATURA	12:00 PLAYLISTA	(audycja dla dzieci)
POLSKU (klasyka	(powtórka)	12:00 PLAYLISTA	WIZUALNE	(powtórka)	16:00 NIE BYŁO GRANE	10:00 ZAMIESZANI
polskiej muzyki	11:00 PLAYLISTA	15:30 POPRAWNIE	(powtórka)	12:00 PLAYLISTA	(muzyczne	W KULTURĘ
rozrywkowej)	15:30 REPORTAŻ	PO POLSKU	12:00 PLAYLISTA	15:30 REPORTAŻ	nowości)	(wywiady
16:00 KULTURA DAB+	16:00 KULTURA DAB+	(poradnik	15:00 POWIEŚĆ (książka	16:00 KULTURA DAB+	20:00 PLAYLISTA	z artystami)
MUZYKA (goście,	TEATR (goście,	językowy)	w wersji audio)	FILM I SERIAL		12:00 STUDIO 202
recenzje,	recenzje,	16:00 KULTURA DAB+	KULTURA DAB+	(goście, recenzje,		12:20 PLAYLISTA
mini koncerty)	komentarze)	SZTUKI	LITERATURA	komentarze)		16:00 DŹWIĘKI ŚWIATA
19:00 ZAMIESZANI	20:00 WIECZÓR	WIZUALNE	(goście, recenzje,	20:00 MUZYCZNE		(muzyka różnych
W KULTURĘ	Z KULTURĄ	(goście, recenzje,	komentarze)	ARCHIWUM		kontywentów)
(wywiady z artys-	21:00 ŚCIANA	komentarze)	20:00 WIECZÓR	21:00 STREFA POŁUDNIA		19:00 ODZYSKANE
tami - powtórka)	DŹWIĘKU	20:00 VARIACJE	Z KULTURĄ	(muzyka z USA)		ŻRÓDŁA
21:00 MUZYCZNE	(muzyka rockowa)	(muzyka klasyczna)	MUZYKA			(polski folk)
MIASTO (muzyka		21:00 RYTM ULICY	LEGENDARNA			20:00 PLAYLISTA
z Wrocławia)		(funk, soul, hip-hop)				